

# Absurdy Polskiej Bibliografii Naukowej

Przypisanie chłopca do roli w pierwszej Rzeczypospolitej niestety bardzo przypomina obecną sytuację polskich uczonych i pracowników nauki. Zaprzecza to wszystkim wzorcom i tradycjom wolności nauki oraz swobody badań akademickich. Od XII wieku bowiem, gdy powstawały europejskie uniwersytety, uczeni przemieszczali się między ośrodkami akademickimi, pracowali – jak Mikołaj Kopernik – we Fromborku, studiowali np. w Bolonii i Krakowie, a publikowali w Amsterdamie albo Bazylei.

Dzisiaj, w trosce o walkę z wieloletowością, można pracować naukowo tylko dla jednej uczelni, pod jednym szyldem i dla jednego pracodawcy, dodajmy – pracodawcy krajowego. Jeżeli przeprowadziliśmy badania np. w Cambridge, Oxfordzie, Uniwersytecie Harvarda, Berkeley, czy w Paryżu, to nie możemy – pracując też w kraju – wskazywać tych instytucji jako tych, w których prowadzone były badania. Nie możemy z powodu decyzji naszego Ministerstwa. Warto zauważyć, że ten wymóg administracyjny zakłamuje obraz rzeczywistości. Na poziomie najniższym – w przypadku dokumentacji naukowego dorobku uczonego – doprowadza to nie tylko do absurdów, ale wręcz do jawnego świadectwa nieprawdy i do kłamstwa. Otóż, wypełniając wpis do *Polskiej Bibliografii Naukowej* ([www.pbn.nauka.gov.pl](http://www.pbn.nauka.gov.pl)), zmuszeni jesteśmy zamieszczać tam informacje dotyczące numeru ISSN dla czasopism, ISBN dla książek, podawać miejsca i daty wydania, liczbę arkuszy, stron, określać dziedziny, których praca dotyczy, deklarować czy posiadamy prawa autorskie do danego tekstu etc.<sup>1</sup>

Rośnie liczba informacji i wpisów w *Polskiej Bibliografii Naukowej*, a administratorzy mogą się w końcu wykażać postępowaniem „informatyzacji” naszych danych. Wszystkie to byłoby jednak – jak to się mówi – „kaszka z mleczkiem” (lub *a piece of cake* – jak mawiają Anglicy), gdyby nie to, że absurdalne rozporządzenia rodzą absurdalne efekty.

Bibliografia i zapisy bibliograficzne mają swoje prawa i zasady, znane od dawien dawna i określone w bibliotekoznawstwie, źródłoznawstwie i kilku innych dziedzinach, zwłaszcza humanistyki. W systemie Polskiej Bibliografii Naukowej wprowadzono jednak, wedle wymogów administratorów nauki, nowe wymagania – nowe „dziedziny” i „pola”, które dotąd były nieobecne. Otóż w jednej z kolejnych rubryk, którą trzeba wypełnić, jest pytanie o afiliację instytucjonalną autora, czyli wspomniane na początku „przypisanie chłopca do ziemi”. Niestety, jest to sformułowane w następujący sposób: podaj instytucję figurującą na okładce czasopisma, książki etc. (lub) podaj afiliację instytucjonalną autora. Jak łatwo zauważyć, jedno wcale nie równa się drugiemu. Obie formy („afiliacja” i „instytucja

na okładce”) są traktowane jako równoznaczne i tożsame z „afiliowaniem się” do danej firmy (instytucji naukowej). Gdy więc dla przykładu firmą tą jest Rosyjska Akademia Nauk, albo Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley, system informatyczny wymusza na nas wskazanie tego miejsca, w którym badania wykonano lub opublikowano (na szczęście można ten wymóg zignorować i udaje się przejść dalej). Jednocześnie musimy zadeklarować naszą jednostkę krajową, na przykład Wydział Orientalistyczny Uniwersytetu Warszawskiego, jako instytucję, której „oddajemy” nasze naukowe uprawnienia i której „przypisujemy” wszystkie nasze dzieła i drobniejsze prace. Gdy więc chcemy być wierni naszej polskiej macierzystej placówce i wpisujemy ją zgodnie z naszą wiarą i dobrymi intencjami, system wykazuje nam, że dany tekst, studium, czy komunikat – wydany w Moskwie lub w Berkeley w Kalifornii, jest dziełem Wydziału Orientalistycznego Uniwersytetu Warszawskiego.

I tu rodzi się problem! Przypisanie uczonego „do między” może i jest w porządku, ale dlaczego mamy kłamać „ku chwale Ojczyzny”? W tych, zwłaszcza zagranicznych, publikacjach nie ma na ogół żadnych polskich instytucji jako firmujących edycję. Warto też dodać, że dotyczy to również spraw krajowych. Można bowiem przekonać się, że publikując w Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie – skądinąd bardzo zasłużonej instytucji – system elektroniczny wykaże nam, że taka instytucja nie figuruje w bazie danych nauki polskiej, a ponadto nie można się do niej „przypisać”, gdyż nie ma uprawnień do nadawania tytułów i stopni naukowych etc. Podobna sytuacja jest ze wszystkimi towarzystwami naukowymi (np. z Towarzystwem Naukowym Warszawskim) lub innymi instytucjami, takimi jak Kasa im. Józefa Mianowskiego – Fundacja Popierania Nauki, jak również z Muzeum Historii Polski, Instytutem Pamięci Narodowej i wieloma, wieloma innymi organizacjami funkcjonującymi w tzw. obszarze nauki, które nie mają uprawnień do nadawania tytułów i stopni naukowych.

Rodzi się pytanie: po co to wszystko było i dlaczego państwo (tj. jego system bibliografii naukowej) zmusza nas do kłamstwa i obchodzenia absurdów bocznymi ścieżkami? Dlaczego odwieczne zasady zapisów bibliograficznych, skrócone lub rozszerzone, są modyfikowane do wymogów biurokratycznych, które rodzą nie tyle absurd, co prawdziwe „potworki bibliograficzne”.

Nie ma żadnego powodu, aby w zapisach bibliograficznych znajdowały się dodatkowe informacje o autorze. Jeśli nie zatrzymamy tej fali, łatwo można sobie wyobrazić, że kiedyś resortowi biurokraci zechcą zainteresować się np. kolorem naszych włosów!

LESZEK ZASZTOWT

\*

Prof. dr hab. Leszek Zasztowt jest byłym dyrektorem Instytutu Historii Nauki im. Ludwika i Aleksandra Birkenmajerów PAN oraz profesorem w Studium Europy Wschodniej Wydziału Orientalistycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Jest sekretarzem generalnym Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i prezesem Kasy im. Józefa Mianowskiego – Fundacji Popierania Nauki. W 2015 roku został wybrany na przewodniczącego Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN.

<sup>1</sup> Czyli wykonujemy bezpośrednio lub pośrednio pracę dokumentacyjną, której – moim zdaniem – nie powinni wykonywać uczeni, a personel pomocniczy lub osoby zajmujące się zawodowo prowadzeniem bibliografii naukowej. Ponieważ jednak na ogół tego personelu brak na uczelniach i w instytutach badawczych, często robić musimy to sami, między innymi dlatego, że przeważnie jesteśmy – na przykład – jedynymi posiadaczami danej książki wydanej za granicą w trudno dostępnej w kraju specjalności. W ten sposób, ku chwale Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, własnoręcznie realizujemy biurokratyczne wymogi naszych administratorów.